№ 50.

WARSZAWA, DNIA 12 GRUDNIA. 1855 R.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerowac można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*. w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b. dom dawniéj Krzemińskiego.*

ELEKCJA

JANA SOBIESKIEGO.

Dalszy ciąg.

Kiedy przedstawieniem Kondeusza na tron polski, nowe między stronnikami powstały niesnaski, i Pacowie razem z królową Eleonorą i jéj stronnikami hojnie szafowali wszelkiego rodzaju potwarzami i obelgami na synowca Ludwika XIV, Sobieski widząc, że tak zażarta nienawiść może bardzo szkodliwe sprowadzić następstwa, zwłaszcza że już nadszedł dzień przeznaczony na zamknięcie obrad, oświadczył, że dla dobra kraju wszelka ofiara z jego strony nie jest trudną, że dlatego, zrzeka się swych najdroższych życzeń wyboru księcia Kondeusza i podaje wniosek do przedstawienia go decyzji królowéj Eleonory. Pod przewodnictwem więc biskupa krakowskiego, sześciu biskupów udało się do królowéj Eleonory. Przyjęła ich w królewskich na zamku komnatach, otoczona całym dworem i przychylnemi sobie panami litewskiemi, pomiędzy któremi Pacowie pierwsze trzymali miejsce. Gdy zobaczyła wchodzących biskupów, niby zdziwiona ich obecnością, choć dobrze była uwiadomioną o ich przybyciu, i umyślnie dlatego zebrała wszystkich swych stronników, rzekła z uprzejmym uśmiechem:

— „I czemuż mam przypisać zaszczytne dla mnie odwiedziny tylu dygnitarzy kościoła, co oderwawszy się od mozolnych spraw kraju, znaleźli czas na odwiedzenie pogrążonéj w żalu królewskiéj wdowy? Czyliż ważniejsze względy kierowały krokami waszych miłościów, jak proste prawa obowiązku i grzeczności?”

— „Tak jest miłościwa pani, odrzekł donośnym głosem Trzebicki, biskup krakowski, bo jesteśmy od koła sejmowego przysłaną deputacją....”

— „Deputacją? przerwała ze zdziwieniem Eleonora, i jakąż przynosicie mi pociechę w moim wdowim smutku? Czyż naród zgodził się nareszcie, kto mu ma królować na zaszczyt i pomyślność całéj Rzeczypospolitéj? Czyż niesnaski i prywata ustąpiły miejsca miłości ojczyzny, która do pierwszych cnót dobrego obywatelstwa należy? Są-

dząc z waszych kapłańskich godności, przypuścićby należało że Wasze miłoście, jesteście posłannikami zgody i pojednania. Mówcież więc dostojne świeczniki kościoła, co wam zaszczyt a mnie pociechę przyniesie."

— „Tak jest miłościwa pani, odezwał się na to biskup Trzebicki z lekkiém nachyleniem głowy, serce waszéj królewskiéj mości odgadło ducha naszego posłannictwa, bo o to przychodzimy z oświadczeniem, że całe koło elekcyjne odstępuje od zamiaru wyniesienia na tron książęcia francuzkiego, z warunkiem jednak że wasza królewska mość, odstąpisz księcia Lotaryngji a oddasz rękę swą młodemu księciu Neuburgskiemu."

Kombinacja podobna przeznaczająca dla blisko czterdziestoletniéj królewskiéj wdowy czternastoletniego małżonka, była cokolwiek ubliżającą, choć niepraktyczną, jak na owe czasy, nazwać jéj nie można. Zaiskrzyły się téż oczy królowéj, twarz spłonęła rumieńcem gniewu, ale wnet powstrzymała wewnętrzne wzruszenie, i z chytrością tak dobrze charakteryzującą dwór wiedeński, odrzekła.

— „Bóg i cesarz mój brat, powierzyli mnie opiece Rzeczypospolitéj, z ufnością przeto zdaje na Rzeczpospolitą pieczę o moich sprawach. Co się zaś tycze wyboru, jestem także bez obawy, moi przyjaciele mnie nie opuszczą."

— „Nigdy!" zaszemrali stronnicy królowéj, i brzękneli karabelami.

— „Więc wasza królewska mość, zgadza się, zaczał znowu Trzebicki... aie mu przerwała królowa słowami:

— „Tak jest mości biskupie zgadzam się na wszystko, co godném jest narodu polskiego i nie ubliża mnie jako arcyksiężniczc austrjackiéj, siostrze cesarza i wdowie po królu polskim."

A wtenczas przysunął się bliżéj ku Trzebickiemu kanclerz wielki litewski i rzekł:

— „Widzę dowodnie, mości biskupie, że w tém wszystkiém ukrywają się jakieś sidła. Ale nim je na węzeł będziecie chcieli zawiązać, wiedźcie proszę tę rzecz, że ponieważ mocarstwa zalecają wyłącznie książąt Neuburgskiego lub Lotaryngskiego, jeden zatém tylko z nich może być królem."

— „Jeden tylko z nich? powtórzył ze zdziwieniem biskup krakowski, czyliż zapomnieliście mości kanclerzu wielki litewski, że Rzeczpospolita obiera sobie króla wolnemi głosami? Czyż więc należy życzenia obcych mocarstw stawiać w pierwszeństwie przed wolą całéj Rzeczypospolitéj? A gdyby téż upodobało się narodowi obrać takiego, co go nie poleca żaden z dworów zagranicznych, czyżby do tego nie miał prawa?

— „Nie do obywatela Rzeczypospolitéj zwracać należy podobne pytanie? odpowiedział kanclerz z powstrzymywanym gniewem: ale do szkolnéj gawiedzi, co dopiero podrasta i rozumem i ciałem. Jeżeli życzenie dwóch monarchów tak wysoko wyniosłem, to dlatego, że nie tajne mi są zabiegi partji, co by rada wszystko sobie zagarnąć, choćby to kraj cały popchnęło w otchłań ostatniego nieszczęścia."

Na te słowa Michał Pac hetman wielki litewski, największy przeciwnik Sobieskiego, przybliżył się do biskupa i głosem drżącym od gniewu rzekł:

— „Jaśnie wielmożny biskupie! róbcie co się wam podoba, ale powiedźcie tym co ścielą drogę do tronu dla kandydatów wyrosłych niby grzyb po dészczu, że ja, Michał Pac, powiedziałem, że królem będzie nam książę Lotaryngji i dlatego idę w posród koła."

Sobieski mieszkał wówczas w pałacu Kazimierowskim, i właśnie z posłem francuzkim Forbin-Jausonem, przechadzał się po obszernym ogrodzie od wspaniałego tego gmachu spuszczającym się ku Wiśle. Gdy mu więc opowiedziano niemiłą rozmowę z królową wysłanéj deputacji, i pogróżki hetmana wielkiego litewskiego, rzekł zimno:

— Ha! więc i ja także idę w pośród koła, a potém ścisnąwszy rękę posłowi dodał: bądź spokojny biskupie, w Polsce może każdy dostąpić korony, ale nie stronnicy dworu austrjackiego."

Potém dosiadł konia i otoczony strażą i zbrojnym ludem, spiesznie udał się pod Wolą, aby stanowczo wesprzéć wybór Kondeusza.

Tymczasem wieść o rozmowie biskupów z królową, szybko rozniosła się na polu elekcyjném. Było to w chwili zbierania głosów, gdy sądzono, że już wszystkie stronnictwa przystąpiły do porozumienia i zgody. Kiedy więc dowiedziano się, że zamiast porozumienia się, partje jeszcze się bardziéj rozdzieliły i że skutkiem tego spór najprędzéj rozlewem krwi ukończony zostanie, i to głównie z Litwą ulegającą Pacowi wielkiemu hetmanowi litewskiemu, wówczas strach wielki padł na wszystkich, szczególnéj na nieprzyjaciół domowych niesnasek. Wkrótce popłoch przeniósł się do Warszawy, pozamykano sklepy, poumacniano bramy i wszelkie wejścia do kamienic; w jednéj chwili ulice opustoszały, tylko przebiegali żołnierze wojska koronnego spieszące na brzeg Wisły, aby módz wzbronić w każdéj chwili przeprawy wojska litewskiego do stolicy. Za to Wisła zasłała się licznemi czółnami zbrojnych litewskich wojowników, spieszących na pole elekcji, na którém szykowały się dwa wojska, a raczéj dwa narody bratnie do krwawéj z sobą walki.

Kiedy pokazał się Sobieski, powitano bohatera

głośnym okrzykiem radości i szczęknięto w karabele. Litwa pod przewództwem Paca, zaszemrała niechętnie przeciw tym groźnym oznakom i wysunęła się naprzód domagając się boju. Biskup krakowski widząc na co się zanosi, dał znak z szopy, i zabrzmiały pienia nabożne kończące zwykle elekcyjne rozprawy. Natychmiast szable pochowano do pochew, namiętności uspokoiły się, i dwa szeregi wojowników przed chwilą gotowe do wzajemnego mordu, korząc harde głowy, upadły na kolana. Po ukończeniu nabożeństwa, biskup wezwał, aby według zwyczaju, każde województwo zebrało się koło swego wojewódy i pod własne chorągwie, gdzie głosy będą zbierane. Usłuchano natychmiast wezwania, dwa zbrojne szeregi przed chwilą patrząc na siebie z największą nienawiścią rozprysły się na tyle kółek, ile było województw w Rzeczypospolitéj i Pacowie zajęli miejsce przy Litwie, a Sobieski przy województwie ruskiém. Przewodniczył mu wówczas Stanisław Jabłonowski znakomity rodem, nauką, wymową. zasługami i wysokiemi destojeństwy. Mąż ten poważny wiekiem i przymiotami duszy przemówił w następne słowa:

— „Stanąwszy u kresu burzliwych obrad, zgadzamy się wszyscy na to, czém być powinien nasz król wpośród naglących okoliczności. Wiemy, że korona jest potężnym ciężarem, dlatego należy poznać, kto jest silniejszym do jéj dźwigania. O księciu Neuburgskim nie ma już mowy. Książę Lotaryngji posiada prawa do szacunku Polski, mógłby więc mieć prawo i do jéj wyboru, ale za nadto oddany jest gabinetowi wiedeńskiemu, od którego ojcowie nasi nigdy nie chcieli brać ani monarchów ani przykładów, i bodaj wnuki nasze i prawnuki, szli zawsze tym torem przez swych ojców utartym, i równie nigdy nie szukali tam ani wsparcia, ani rady, ani pomocy, ani w nieszczęściu ratunku. Dla tego oświadczam jasno i wyraźnie i przeciwko kandydatowi cesarskiemu kładę moje veto.”

Przytomni potwierdzili te mądre słowa swego przewodnika, a Jabłonowski wówił dalej:

— „Polska ten wał obronny całego chrześcijaństwa, pragnie mieć na czele swojém sławne imię, któreby odpowiadało jéj sławie i poświęceniu. Kondeusz bezwątpienia pierwszym jest wodzem naszego wieku, i wymawiając to imię, wolny będę od wszelkich wyrzutów sumienia. Ale dzisiaj rano ukorzyłem się przed Bogiem, szukając światła u stóp krzyża, prosząc o natchnienie w sprawie, która ma zakończyć żałobę naszego kraju... i choć mąż ten jest wielkim, głosu mojego jednak nie pozyska. Kondeusz bowiem stary, zdrowia jest bardzo osłabionego, a my możemy i powinniśmy mieć króla w dojrzałości wieku i umysłu. Kondeusz wychował się i zestarzał pod innym rządem, śród innych zwyczajów i obyczajów, niżeli nasze. My zaś możemy mieć króla, który rozumie nasze swobody, który je kocha, którego przysięga będzie szczerą i skoro raz zaprzysięże, to z serca dochowa wiary na zawsze.

Kondeusz nie zna naszéj taktyki, naszego oręża, naszego sposobu prowadzenia wojny, nie zna naszego języka i naszéj historji. Nie zna naszych wypraw, ani świetnych czynów, co mówię? nawet nie zna nazwisk każdego z nas. Sto lat byłoby mu potrzeba na poznanie twarzy naszych, a przecieć mieć możemy głowę, towarzysza i sędziego praw naszych, obywatela ojczyzny naszéj. Żądam aby Polak nad Polską panował!“

— „Tak, Piast! Piasta żądamy! odezwano się gwarnie do koła, niech Bóg błogosławi Polsce z Piastem na tronie.“

Gwar od województwa ruskiego, doszedł do innych kół obradujących i pociągnął z nich tłumy do Rusinów, Jabłonowski mówił daléj:

— „Jeżeli przodkowie nasi, niekiedy wynosili cudzoziemców na stopień najwyższy, czynili to dla tego, że się lękali walk bezustannych pomiędzy równemi współzawodnikami. Dzisiaj obawa ta miejsca mieć nie może, wszystkich bowiem oczy, bez wahania się i rachuby, zwracają na jednego tylko z pomiędzy nas.“

Żywe okrzyki na długo przerwały mowę wojewodzie, po uspokojeniu których, mówił daléj głosem już donośniejszym:

— „Jest pomiędzy nami mąż, któremu ocalenie Rzeczypospolitéj dokonane po dziesięćkroć, jego rady i zwycięztwa, zjednała trwały szacunek pośród świata i u nas, jako najpierwszemu z synów Polski. Stawiając go na czele naszém uświęcimy tylko dzieło sławy jego, szczęśliwi, iż uczcić możemy jednym tytułem więcéj resztę żywota, z którego ani jeden dzień nie upłynął, coby nie należał do Rzeczypospolitéj; szczęśliwi jeszcze, iż możemy dla własnego naszego ocalenia, stłumić opłakane niesnaski przyodziać we władzę i potęgę, miłość i genjusz kraju! Podczas tej elekcji, traf nie będzie miał miejsca. Wiemy że taki król, potrafi utrzymać naród na stopniu, jaki zajmuje u świata, on go sam bowiem zatrzymał na tym stopniu, lub też go nań wywyższył. Ten nie uczyni nas pastwą cudzoziemców, sam zaś nie będzie hołdownikiem niewiernych. Cokolwiek życzyć możemy od monarchy, lub się spodziewać po nim, to wszystko odebrał on w udziale swoich cnót i swojéj fortuny. Ostatnia uwaga tu mnie zastanawia, Polacy! je-

żeli naradzamy się tu w pokoju nad wyborem króla, jeżeli najświetniejsze dynastje ubiegają się o nasze głosy, jeżeli potęga nasza urosła, jeżeli swobody nasze trwają bez szkody, jeżeli nawet posiadamy ojczyznę, to komuż to winniśmy? Wspomnijcie na cuda waleczności pod Słobodyszczem, Podhajcami, Kałuszą, Chocimem nadewszystko; wspomnijcie na te nieśmiertelne imiona, które drżącą z trwogi Rzeczpospolitę i całą Europę uspokoiły i rozpacz zamieniły w niewysłowioną radość, i weźcie Jana Sobieskiego za króla."

Długie oklaski były odpowiedzią, na te mądre i poczciwe słowa wojewody, i podniósł się jeden tylko głos protestujący a był to głos samego Sobieskiego. Zaklinał w imię pokoju wewnętrznego i zewnętrznego, któryby lepiéj ugruntowany został pod panowaniem monarchy, zrodzonego między królami, w imieniu dobra publicznego, potrzebującego związków przemożnych, w imieniu wreszcie niezaprzeczonych zasług Kondeusza i interessów Polski, aby od myśli téj odstąpiono, i zostawili go jako równego wszystkim w służbie Rzeczypospolitéj. Ale zaklinania to były daremne, próźb nie wysłuchano, podniosły się na nowo okrzyki radości, a z pośród grona podniósł się Maksymiljan Fredro kasztelan lwowski, mąż równie poważny i szanowany powszechnie i rzekł:

— „Miłościwi panowie i bracia! wiecie, jakie niebezpieczeństwa nas otaczają; słyszycie szczęk oręża uzbrajających się Turków, pochód ich wojsk, krzyki zemsty i groźby. Żywot Rzeczypospolitéj jest ciągłą i szlachetną walką z wrogami świata chrześcijańskiego. Obierzcie więc królem bohatera, którego zycie przeznaczoném, iż tak rzekę, zostało przez poświęcenie się wszystkich jego krewnych ażeby były długą walką z niewiernemi i długiém zwycięztwem. Obierzcie tego ze wszystkich kandydatów, którego imię jest największém, najstraszniejszém dla nich, tego, któregoby oni nasamprzód usunęli, gdyby mieli głos pomiędzy nami; tego, którego Bóg chrześcjan nacechował swojém znamieniem na polach Chocima, w pierwszym dniu bezkrólewia. Było to, pamiętacie w Sobotę, podobnie jak dzisiaj, jest więc w tém palec Boży! Głosuję za Janem Sobieskim!"

— „Niech żyje król Jan Sobieski! zawołało województwo ruskie, z grzmotem podobnym do wystrzału armatniego. Niech żyje! powtórzyło krakowskie, a za niém poszło Podlaskie i trzynaście innych województw, na czele z czterema Sapiehami Stefanem Czarneckim, Lubomirskim, Olszowskim i wielu innemi. Waleczna szlachta i żołnierze, których hetman przez lat dwadzieścia prowadził do zwycięztwa, dobyli szabel wołając:

— „Zginiemy wszyscy, albo mieć będziemy królem Jana Sobieskiego."

Na te okrzyki pełne szczerego zapału, wywołane szlachetną zasługą bohatera, chorągwie polskie pochyliły się ku czci jego sławnego imienia, tłum upojony radością, wznosił wiwaty serc ożywionych jedném uczuciem. mnożyły się one coraz więcéj, tak dalece, że wkrótce zachwiała się Litwa i wielu z pomiędzy niéj stanęło po stronie Sobieskiego. Posłowie, senatorowie, biskupi, ministrowie, dygnitarze, wszyscy winszowali sobie nawzajem, natchnienia, jak mówili, które zakończyło bezkrólewie.

(d. c. n).

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Nie mając się podobno doczekać zjazdu głów koronowanych, Paryż obecnie poszczycić się może posiadaniem w murach swoich innéj znakomitości, która pod względem dobroczynnego dla ludzkości działania z wieloma z tamtych zapewne może iść o lepsze. Jest nią p. Ferdynand de Lesseps, genialny inżynier, niegdyś konsul generalny Francji w Egipcie, którego jedynie niezmordowanym staraniom, nadludzkiéj wytrwałości i silnéj wierze w swe posłannictwo świat w krótkim czasie zawdzięczać będzie olbrzymie dzieło kanału, przekopanego przez międzymorze Suez, a łączącego morze Srodziemne z Czerwoném.

Myśl tego przekopu zrodziła się w głowie Lessepsa, kiedy zaproszony przez wicekróla Mohameda-Saida, przebywał z nim pustynię, udając się do Kairu. Od chwili poczęcia téj myśli Lesseps nie miał już spoczynku, i pchany nią jak lokomotywa parą, przebiegał od jednéj stolicy do drugiéj i łamał piętrzące się przeszkody, głównie zazdrosny opór Anglji, która na wszystko, co nie od niéj wychodzi, niechętném zawsze patrzy okiem. Rozwinąwszy niepodobną prawie do uwierzenia energję pracując od 1853 do 1858 roku bez przerwy, to w Wiedniu, to w Stambule, to w Londynie i w Alexandrji, dopiął nareszcie celu. A gdy się już rzeczywiste rozpoczęły roboty, ileż trudności, ile intryg z każdym dniem nowych i na każdym znowu stawiano mu kroku! Dziś zakonczenie dzieła nie ulega już żadnéj wątpliwości; dwie trzecie pracy jest dokonanéj. Funduszów także nie brak, odkąd towarzystwo akcyjne, z kapitałem 250 miljonów franków, na czele którego jako największy akcjo-

narjusz stanął sam wicekról Egiptu, wzięło w ręce część finansową przedsiębierstwa. Akcje są sześcioprocentowe i stoją dziś o 27 od sta powyżéj *pari*, t. j. kto kupując akcję po cenie pierwotnéj, zapłacił w swoim czasie 1,000 franków, ten dziś sprzedać ją może za 1,270, a rocznie ma z niéj po 70 franków dochodu. Bez wątpienia, gdy kanał już będzie w całości oddany na użytek powszechny, nietylko ów dochód wzmoże się znaczną dywidendą, ale kto wié nawet czy się wartość samych akcji nie podwoi, a może nawet potroi. W przewidywaniu tego pożądanego rezultatu ludzie pobożni dziewiętnastego stulecia, czerpią tymczasem natchnienie bodaj z Pisma świętego, żeby się niejako dać zmusić do zrobienia dobrego interessu, jakoż nie mogę się powstrzymać od przytoczenia tu jednego zabawnego wypadku, który w tych dniach dość głośnym stał się w Paryżu.

Pewien bogaty kupiec z Amsterdamu, gorliwy religjant, umiejący całą Biblję na pamięć, przysłał kompanji Suezkiéj przepowiednię proroka Izajasza, wraz z podpisem na 100 akcji po 5,000 franków. Przepowiednia ta jest w saméj rzeczy ciekawa, Prorok bowiem przepowiada bardzo wyraźnie, że woda płynąć będzie tam, gdzie jest piasek pustyni, że morza rozdzielone szerokim lądem połączą się w pełném chwały małżeństwie. Miejsce to zawarte jest w rozdziale 41, wiersz 1 i 18 do 21; dla niemających Biblji pod ręką, przytaczam je tu w zupełności:

„Niech się wyspy uciszą, niech ludy będą odwane.

Przemienię pustynię w jezioro, a ziemię bez drogi w spław wodny.

Tam gdzie jest piasek i samotność, każę rość cierniom, cedrom, mirtom i oliwom; posadzę w pustyni sosny, wiązy i bukszpan.

Ażeby wszyscy ludzie widzieli i wiedzieli, zważyli i zrozumieli, że ręka Pana zrobiła te cuda, a swięty Izrael jest jego wykonawcą.

Tak tedy, wszystko to, co się teraz dzieje było przewidziane przez Izajasza, nie wyjmując nawet oppozycji wysp (Wielkiéj Brytanji) przeciw przekopowi. „Niech się wyspy ucisza!“ woła prorok; ten wykrzyknik stosuje się wyraźnie do Anglji, „Niech ludy będą odważne!“ te ludy to ląd stały na Zachodzie, który od dziesięciu lat życzy powodzenia panu Lessepsowi, który to życzenie miljonami przypieczętował. Anglja, choć bardzo biblijna, nie będzie pewnie zważać na rozkaz proroka, ale rzeczą jest pewną, że powyższa przepowiednia mocno uderzy umysły w Konstantynopolu, Alexandrji, Smyrnie i w ogóle na Wschodzie, gdzie Prorocy Starego Testamentu są wysoko cenieni.

Co do kupca amsterdamskiego, który tę przepowiednię odszukał, sens jéj wydał się jemu tak jasny, zrozumiały i wyraźny, że spieniężywszy majątek, prawie cały, włożył go w akcje kompanji Suezu. Chciał on zapewne być owym akcjonarjuszem zapowiedzianym przez Proroka, jednym z tych, co to wzajemnie sobie pomagają i braciom swym każą mieć odwagę. Ktoby był przypuszczał‘ że słowa starego Izajasza mają jeszcze tak wielki kredyt w Amsterdamie?

Teraźniejsza obecność Lessepsa w Paryżu, głównie ma na celu uproszenie cesarza o wpłynięcie na rząd sultana, żeby przynajmniéj na rok jeszcze jeden pozwolił zatrzymać zajętych przy budowie kanału robotników, których dlatego, że są na lat pięć kontraktem związani, kabały angielskie usiłowały przedstawić w Stambule, jakoby pracujących pod przymusem niewoli. Nikt nie wątpi, ze wielki mąż ten osięgnie swój zamiar i że się jemu raz jeszcze uda obrócić w niwecz podstępy chytrego Albjonu.

Równéj niemal z nim sławy dostąpi zapewne wkrótce p. Felix Belli, który wypracował już w całości obszerny projekt przekopania w Ameryce międzymorza Panama, przez co oszczędzi się niebezpiecznéj i długiéj żeglugi na około przylądka Horn, i prosto z Atlantyku będzie można wypłynąć nn Ocean Spokojny. Międzymorze to, znane w Europie najwięcéj podobno z mocnych i lekkich téj nazwy męzkich kapeluszy, już pierwszemu zdobywcy Mexyku, Ferdynandowi Cortez, zdawało się łatwém do przebycia. Ale apatja, w jaką wpadła wnet monarchia hiszpańska, do któréj te kraje przez trzy wieki należały, nie dozwalała myśléć o urzeczywistnieniu tak wielkiego projektu. W nowszych czasach zajmowali się nim: angielski minister Pitt i genialny badacz Alexander Hamboldt; w 1811 r. nawet, Ameryka środkowa wyzwoliwszy się z pod jarzma Hiszpanji, sama zaczęła myśléć o przekopie, gdy zaś brak kapitałów stanął jéj na przeszkodzie, Wilhelm I. król hollenderski już miał popierać ten zamiar, gdy go znów w 1830 r. oderwanie się Belgji od Hollandji, stanowczo pokrzyżowało.

W 1846 r. dopiero podniosła znowu tę kwestję w Londynie broszura księcia Ludwika Napoleona, dzisiajszego cesarza Francuzów, który na mocy układu z Rzecząpospolitą Nicaragui miał uorganizować w Europie odpowiednią dla tego przedsiębierstwa kompanię. W więzieniu w Ham ciągle jeszcze myślą tą się zajmował, a gdy po odzyskaniu wolności skutkiem szczęśliwéj ucieczki, inne ważniejsze zajęły go przedsięwzięcia, wielki ten zamiar podjęty został przez pana Belly, byłege na-

czelnego redaktora dziennika *Pays*, który w Rivas z właściwemi rządami zawarłszy ugodę, wezwał świat cały do uczestnictwa pięknćm i nauczającém dziełem, p. t: *Le percement de l'Isthme de Panama* (Przebicie międzymorza Panamy). Koszta nie mają przenosić summy 120 miljonów franków. Projekt cesarza Napoleona w ogóle się w szczegółach nawet utrzymał, a zdaje się, że francuzka wyprawa do Mexyku na tém szybsze wpłynie jego urzeczywistnienie.

Tak tedy zbliża się jedna z najważniejszych epok w pochodzie ludzkości: dwa sławne międzymorza, więżące dwa Oceany i krępujące ręce geniuszowi postępu, zostaną przecięte, oba przez Francją i prawie równocześnie, a tymczasem w Europie cieśnina Kaletańska, dzieląca tęż Francję od Anglji, wkrótce zapewne oczekiwać może, olbrzymiego mostu tubowego, łączącego z sobą oba wybrzeża.

*

Paryż, d. 5 Grudnia.

Meksyk niezależny.

(Dalszy ciąg).

W trzynaście lat po wystąpieniu Hidalgi w Dolores, Meksyk brocząc we krwi, pomiędzy tysiącem trupów, doszedł wreszcie do spełnienia życzeń do jakich dążył z taką wytrwałością. Dalszy jednak ciąg jego historji, smutny i bolesny, nie przedstawia tak wzrastającéj potęgi i pomyślności, jak w Stanach Zjednoczonych. Niewola bowiem upadlając i nikczemniąc choć zniknie, długo jeszcze zostawia ślady swego pobytu i często fałszywy pozór podaje całemu społeczeństwu. Po Hiszpanach więc w spadku, zostały ciemnota, brak wprawy w rządzenie, i niezgody kastowe pomiędzy Kreolami, Metysami i Indjanami. Dodawszy do tego zawiść i współzawodnictwo pojedyńczych dowódców i brak człowieka, ktoryby przewagą znakomitych dzieł, mocą i nieskazitelnością charakteru wyniósł się nad wszystkich i ster państwa uchwycił, a zrozumiemy, dlaczego od lat czterdziestu trwają w tym kraju niezgody domowe, dlaczego tak często zmieniają się naczelnicy rządu, zbierają i rewiązują zgromadzenia narodowe, i dlaczego kreolowie niepomni dawnego swego losu, nie mogą się odważyć na wyciągnięcie bratniéj dłoni w Imię Chrystusa do metysów i Indjan.

Z braku przeto oświaty, téj nauczycielki własnego dobrze pojętego interesu, zamiast pomyślnego rozwoju wewnętrznego, w Meksyku zapanował opłakany bezrząd, ze wszystkiemi jego skutkami, a mieszkańcy podzielili się na dwa stronnictwa, zwane Escoceses, złożone z kreolów i duchowieństwa i Jorkinos, do którego należy lud uboższy, metysi i Indjanie ciągle odpychani przez stronnictwo pierwsze.

W pośród tego zamętu, walki stronnictw i zmian prezydentury często krwią broczonych, góruje nad innemi generał Santa-Anna. Po upadku Iturbidego, generał ten wstrząsał dolą całego kraju. Już to sam podniecał rewolucje, już to po ich rozpoczęciu przyłączał się do nich; dziś pracował nad wywyższeniem kogo innego, a jutro nad swojém własném; dźwigał jedno stronnictwo, a potém go poniżał wspierając przeciwne, i utrzymywał równo ważenie się między niemi; był podżegaczem politycznych wypadków, a los ojczyzny wiąże się z jego losem, pośród mnóstwa przemian, które mu oddawały nieograniczoną władzę, a potém wtrącały go do więzienia, albo wysyłały na wygnanie.

W roku 1829 Hiszpanja nową wysłała wyprawę na zmuszenie Meksyku do poddania się. Santa-Anna nie czekając rozkazu swego rządu, uderzył na wojsko hiszpańskie i zmusił je do złożenia broni. W cztery lata późniéj w r. 1834 ogłoszony został Dyktatorem. Prowincje odległe od stolicy, a mianowicie Taksas, wystawiona na ciągłe napady dzikich i nie mogąc uzyskać opieki i pomocy rządu, umyśliły złączyć się ze Stanami Zjednoczonemi i w r. 1836 wypowiedzieli posłuszeństwo rządowi meksykańskiemę. Santa Anna wyruszył przeciw nim, lecz zwyciężony przez Teksykanów dostał się w niewolę i w niéj kilka miesięcy przepędził.

Późniéj w r. 1837 kiedy rząd francuzki za czasów Ludwika Filipa, ujmując się za krzywdą wyrządzoną jego poddanym, o niezapłacenie procentów, od zaciągniętych długów państwa, wysłał flotę wojenną, Santo Anna znów wystąpił na scenę, i dzielnym oporem francuzom zyskał na nowo życzliwość ludu.

W roku 1847 Stany Zjednoczone siłą oręża, zmusiły Meksyk do odstąpienia na ich korzyść, prowincji Teksasu, Nowego Meksyku i Kalifornji, stanowiących większą połowę całego kraju Za odstąpienie to rząd meksykański otrzymał tytułem wynagrodzenia, około 180,000,000 złp. które posłużyły na zasilenie skarbu i zaspokojenie pretensji Amerykanów północnych. Przed zawarciem jednak tego traktatu, Santa-Anna złożył urzędowanie, i dopiero po sześciu latach najokropniejszych zamieszek w r. 1853 powołany został na nowo na Dyktatora. Przez lat dwa pasując się z przeciwném

stronnictwem, złożył rządy w r. 1855, opuścił Meksyk i już go odtąd nie widziano na widowni politycznéj.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsza litera, sylaba *trzecie*,
Druga rzeka, o tém wiecie,
Druga z *piątą* kształtu dodają,
Zaś *czwartéj*, *pierwszéj*, *piątéj* podróżni szukają,
Zwłaszcza, gdy ich huragan stepowy utrudzi,
Wszystkie wyobrażają wielkich, sławnych ludzi.

F. W.

(Znaczenie przeszłéj szarady: — **Koszyki**).

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur de la mode. Okrycia tegoroczne nie uległy wielkiéj zmianie najwięcéj noszone są paltoty przystające do figury i płaszczyki ozdobione frendzlą, pasmanterją albo koronką, jeżeli okrycie jedwabne.

Kapotki czarne atłasowe, coraz więcéj się upowszechniają; dla młodych osób ubierają je wstążkami aksamitnemi w szkocką kratę. Materja i aksamit w podobną kratę służą do ubierania sukien. Widzieliśmy między innemi kaszmirową koloru *hawanna* u dołu sukni naszyta była skośna plisa z aksamitu szkockiego zakończona brzegiem małemi palmami z sutaszu; pasek szkocki z bawetem i pelerynka czworograniasta objęta aksamitem stanowiły ubranie stanika. Rękawy były dosyć obcisłe odpowiednio przybrane.

Druga suknia wełniana fijołkowego koloru miała plisę czarną jedwabną z frendzlą sznelową. Stanik hiszpański, naśladujący z przodu kamizelkę objęty był również pliską i obszyty frendzelką sznelową. Siatki nie wyszły bynajmniéj z mody, dużo widzieć można sznelowych, garnirowanych ruszą jedwabną.

Petit courrier des dames. Klejnoty z włosami, z magazynu *Lémonnier* zaczynają bydź bardzo poszukiwanemi, z tych zwrócił naszą uwagę, nad podziw delikatnie wyrobiony łańcuszek długi, składający się z nader misternych dużych kulek, co obecnie należy do najświeższych wzorów, jak również bransoleta z srebra oksydowanego i medalionem z włosów. Druga wspaniała bransoleta, z zapinką z turkusów i plecionką włosów. Bransolety z medalionów zamykają zwykle w sobie fotografje; medaljony są złote z cyframi czarnéj lub szafirowéj emalji.

Opis ryciny.

N. 1 Suknia jedwabna naszyta u dołu aksamitką i grelotkami jedwabnemi. Paltocik wcinany do figury, odpowiednio garnirowany. Kapelusz okrągły aksamitny ubrany piórem, fałdowanym aksamitem i małą koronkową woalką.

N. 2 *Gabrjela* popelinowa. Okrycie jedwabne na wacie, przyozdobione gipiurą i grelotkami. Kapotka popielata marszczona.

N. 3 *Ubranie dziewczynki 5-cio letniéj.* Spódniczka popielata w krateczkę naszyta czarną plisą. Garybaldka czarna tybetowa. Rotonda sukienna. Kapelusz okrągły kastorowy.

---

2) *Stanisława Chomętowskiego* wojewody mazowieckiego hetmana polnego koronnego.

3) *Krzysztofa Radziwiłła* wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego litewskiego.

Cena Zeszytu mieszczącego 3 wizerunki z textem dużym polskim i krótkim francuzkim złp. 10 (rs. 1 k. 50) Płacący za całe dzieło z góry otrzymują takowe (16 zeszytów) za rs. 20.

GWIAZDKA CZYLI KOLĘDA.

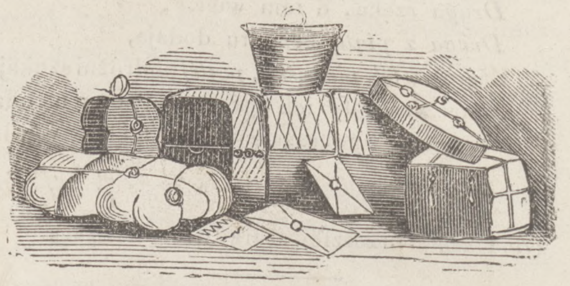
Ponieważ Publiczność jest dokładnie obeznaną z planem tego wydawnictwa, nie będziemy się więc długo nad nim rozwodzić. Co do premiów nadmieniamy tylko, że tego roku przeznaczyliśmy dla prenumeratorów Gwiazdki, 2 wielkie premia, jedno wartości 1000 złp. czyli rs. 150 a drugie złp. 666 gr. 20, czyli rs. 100. Każdemu Prenumeratorowi na Gwiazdkę, dodajemy Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1864.

Ilość mających się rozdać premjów, stosować się będzie jak w roku zeszłym, do ilości prenumeratorow, tak że z pewnością w przecięciu każdemu 10-temu prenumeratorowi, dostanie się jakiś przedmiot mniejszéj lub większéj wartości. Wartość 2 wielkich premjów pozostanie niezmienną, bez względu na ilość prenumeratorów. Co do wartości wewnętrznéj książki, co jest niezawodnie najważniejsze, bo takową każdy prenumerator dostaje, a rozdawnictwo premjów jako zabawę Gwiazdkową raczéj, aniżeli istotną korzyść uważać należy, to starać się będziemy, ażeby tak pod względem artystycznym, jak i doborem artykułów, zadowolić o ile możności czytającą Publiczność, Rozpoczęliśmy między innemi druk tego dziełka, pracą pana Juljana Bartoszewicza, p: t: *Mały Królewiczyk Władysławek.* Artykuł ten naszego znakomitego Historyka, ozdobiony jest portretami króla Władysława IV i jego tak wcześnie zmarłego syna, ten ostatni wizerunek jest kopją oryginału, zdjętego w 7 roku jego życia, i przedstawiającego go w ubiorze narodowym owéj epoki. Cena prenumeraty wynosi jak w roku zeszłym złp. 3 gr. 10 (k. 50) Egzemplarze na welinowym papierze, kosztować będą 4 złp. Prenumerata przyjmuje się we wszystkich księgarniach i na stacjach pocztowych. Każdemu prenumeratorowi, wydany będzie numerowany bilet prenumeracyjny, opatrzony naszym podpisem, lub osoby zbierającéj prenumeratę. Koszta przesyłki pocztą. wynoszą gr. 20 (kop. 10) od egzemplarza. Prenumerującym na 10 egz. dodajemy 11 egzemplarz bezpłatnie.

Księgarnia Polska ul. Miodowa Nr 482 (nowy 4)

A. Dzwonkowski.

P. S. Listy do nas z powodu wydawnictwa Gwiazdki powinny być frankowane i do obstalunku na bilety prenumeracyjne, dołączona gotówka, a tacy tylko z Panów Prenumeratorów mogą żądać przesłania pocztą należących im się egzemplarzy, którzy zapłacili porto, w ilości groszy 20 (kop. 10) od egzemplarza.



Pani Salomei Wykow., p. Rogaczew w Wykowie.— Pieniądze na prenumeratę Tygodnika, można wysłać czy to przez St. Petersburg, czy téż przez którąkolwiek Stację Pocztową przy kolei żelaznéj. Cena kaptura wynosi od złp. 46 do 66, rękawiczki zaś złp. 6 gr. 20. Księciu Wła.. Jabł.... w Płu.... przez Hor.... prosiemy o odesłanie złp. 611, za sprawunki, przed dwoma jeszcze laty dopełnione. — P. A. Czar. w Grądach, żądane obecnie numera już poprzednio przesłaliśmy. muszą zapewne zalegać na Stacji Pocztowéj, dziś zaś z powodu wyczerpania takowych przesłać niemożemy.— Pani Kamil. Wa. Do obłożenia spódniczki czarnéj kamlotowéj, użyć można tybetu Solferino albo szafirowego w czarną kratkę. Suknie popielate noszą bez naszyć kolorowych.— Pani Ju. Kali. Błam lisów w najlepszym gatunku dochodzi do złp. 800, najtańsze wynoszą złp. 500.— Pani Wale. Zabo. Dla młodych panienek najwłaściwsze paltociki podbite futrem niektóre nawet robią wcinane do figury, i podszywają junatami albo popielicami.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 12 Grudnia 1863 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Dziewiąta godzina wybiła, kiedy posłyszałem tentent kopyt końskich. Uradowany wybiegłem z domu.

Janek nie był tak wesół jak zazwyczaj. Czuł się znużony drogą, kłopoty z garbarnią ciążyły mu na sercu.

— Ciężkie to czasy! rzekł, kiedy Pani Tod, która wniosła światło do pokoju, odeszła, życząc nam dobréj nocy. Ciężkie czasy! powtórzył. Nie godzi się podobno zostawić ojcu twemu tyle kłopotów na głowie, muszę się tak usrządzić, żebym jeździł pięć razy na tydzień do Norton-Bury. Przykro mi, że będziesz tu sam jeden.

— A i ty mój Janku, nie użyjesz przyjemności wiejskich, o których tak marzyłeś.

— Mniejsza o to! Co do mnie powinienem więcéj myśléć o pracy, niż o uciechach życia. Jakże dziś twoje zdrowie?

— Bardzo dobrze. Co jutro będziemy robić.

— Chciałbym cię z rana zaprowadzić na dolinę, widok z niéj prześliczny.

— Czy widok natury, zapytałem.

— Rozumiem co chcesz mówić, rzekł, nie myślałem o niéj w téj chwili. Pójdziemy inną drogą, żeby nas nie wzięła za ludzi natrętnych i źle wychowanych.

Nazajutrz o siódméj rano byliśmy w dolinie, otoczonéj górami.

W pośrodku wznosił się niewielki wzgórek, zupełnie spłaszczony; w koło opasywała go nizina, niby łożysko wyschłéj rzeki, porosła murawą i bujną roślinnością. Kilkanaście wiosek rozrzuconych tu i owdzie, wyglądało malowniczo z pośród drzew po przeciwnéj stronie doliny. Ciemne parowy, daléj uprawne pola i lasy, dziwnie urozmaicały krajobraz.

— Jakże piękny ten widok, rzekł Janek, to prawdziwa dolina angielska, wesoła i spokojna, żywe ognisko szczęścia domowego! Nie uwierzysz, jak lud tutejszy pełen jeszcze dawnéj prostoty w obyczajach. Są to potomkowie odwiecznéj osady tkaczów Flamandzkich i zajmują się też tradycyjnie swém rzemiosłem. Patrz, tam w głębi doliny, za tym laskiem bukowym, wznosi się ogromna fabryka sukna, która przyodziewa tę okolicę.

— Radbym cię widział na jéj czele mój Janku. Ale.. powiédz mi, co się stało z tym kawałeczkiem sukna, twéj roboty, com go widział u ciebie.

— Mam go dotąd... Prześliczny to zakład, ciągnął, wskazując ręką ku fabryce, szkoda tylko, że właściciel, stary rutynista, lęka się wszelkich ulepszeń. Gdyby naprzykład.... Lecz zapomniałem, że cię mechanika nie bawi.

— Mów daléj, mów!.. tłómacz się jasno, a może cię zrozumiem!

Dzięki wzajemnéj dobréj woli, dał mi poznać swoje przemysłowe marzenia. W dziesięć minut zapomniałem o nich, to prawda, ale póki mówił słuchałem go z zajęciem.

— Czy chciałbyś być na czele wielkiéj fabryki?

— Czybym chciał? co tu mówić napróżno. Nie zawsze można iść za powołaniem swojém: zresztą rzemiosło człowieka tylko uzacnia lub poniża. Jestem garbarzem, i mam zamiar zostać sławnym garbarzem. Ależ powiédz mi, czy Pani Tod wié, kto jesteśmy?

— Sądzę że nie, ale mój Janku, przez miesiąc przynajmniéj, zapomnijmy zupełnie o garbarni.

Odkąd żyliśmy w téj uroczéj Arkadji, więcéj niż kiedy ochydziłem sobie mój zawód.

Połajał mnie, lecz myślę, że był tegoż samego zdania.

— Ktoby się domyślił, rzekł, widząc mnie tu na téj łące ubarwionéj kwiatami, że wczoraj przez cały dzień, wykręcałem skóry, tylko co zdarte z bydląt? Dziwię się do prawdy, że ta konwalja nie zwiędnie w moim ręku!

— Nie sami podobno zrywamy kwiaty na téj łące, rzekłem: patrz Janku.

— To ona, odrzekł obojętnie, pewien jestem że ją spostrzegł piérwszy.

— Chciałeś uciekać od niéj, przeznaczenie nas zbliża!

— Tak jak my, obrała inną drogę, traf zdarzył,

że się spotykamy. Chodź! wejdźmy na dolinę. Niech tu zostanie sama.

— Pociągnął mnie gwałtem, gdyż pragnąłem ujrzéć jeszcze tę postać tak łagodną i pełną wdzięku. Z resztą, taka była godność w jéj postawie, że sądziłem, iż spotkanie z nami było jéj obojętném.

Janek zgodził się na to, nie mogłem go jednak nakłonić, żeby został.

Wypadek przecie zrządził żeśmy spotkali pannę Marek około *Róże Cottage*. Dwie ścieżki, któreśmy obrali, prowadziły do jednego celu, a godzina śniadania wzywała nas zarówno. Miałem słuszność, obecność nasza obojętną była pannie Marek; nie zarumieniła się wcale, nie spuściła oczu. Spojrzała na nas skromnie, lecz badawczo..... Lekki nawet uśmiech mówił wyraźnie, iż wié, kto jesteśmy

Przechodziła koło naszych drzwi, w których pani Tod stała z dzieckiem na ręku. Niemowlę wyciągnęło do niéj drobne rączęta z tym wdziękiem, na który żadna kobieta nie może być obojętną. Panna Marek zatrzymała się, wzięła dziecię, i podrzucała je w górę.

Śliczny to był obraz: płaszcz z kapturkiem osunął się z jéj ramion, i ukazał kształtną kibić, i bujne pierścienie ciemnych włosów, podpięte grzebieniem na wiérzchu głowy, według mody ówczesnéj. Oczy jéj połyskiwały szczęściem, świéży rumieniec krasił jéj lica; w téj chwili wydała mi się piękną!

Stała ciągle przed naszemi drzwiami; widocznie zapomniała o nas. Kiedy pani Tod prosiła ją, aby dozwoliła przejść „tym panom“ cofnęła się na bok zdziwiona, i nasunęła kapturek na głowę.

Janek spojrzał na nią; co do mnie ledwie mogłem oderwać od niéj oczy. Skłoniliśmy się oba, oddała nam ukłon, po czém weszliśmy do pokoju.

— Znajomość z sąsiadami rzekłem, zaczyna się na dobre.

— Wcale nie, odparł Janek, nie jest to znajomość, ale prosty stosunek między osobami, które żyją pod jednym dachem. Nie zajdzie to nigdy daléj.

— Zapewne!

— To *zapewne*, niemiłém było Jankowi. Stanął w oknie zamyślony.

— Ona mi się wydaje dziś nie równie ładniejsza, niż wczoraj, rzekłem, lubo piękną nazwać jéj nie mogę.

— Ani ja także.

— Ukłoniła nam się z takim wdziękiem. Podobno piérwszy raz w życiu mój Janku, spotkaliśmy damę z wyższego świata. Jéj ojciec to zapewne ten pan Marek, krewny Britwoodów. Szczególny zbieg okoliczności.

— Prawda, że szczególny, odparł Janek i umilkł.

Nie raz jeszcze tego poranku, mówiliśmy o naszych sąsiadach; a raczéj ja mówiłem, Janek zaś ledwie kiedy niekiedy bąknął słowo. Podczas kiedy pani Tod sprzątała talerze od śniadania, począłem ją wypytywać o panu Marek. Janek wyrzucał mi potém próżną ciekawość.

Dowiedziałem się z téj razmowy, że pan Marek, posiada majątek, że nie ma znajomych w okolicy, że mieszka zazwyczaj w kraju Gallów.

— Co dowodzi, dodałem, że nie jest naszym dawnym znajomym.

— Tak jest, rzekł Janek, widocznie zaspokojony.

— Rozśmiałem się z poważnéj jego postawy.

Przez resztę poranku, czytaliśmy Szekspira. Otwierając starą księgę, trafiliśmy na dramat *Julja i Romeo*. Któreż młode serce nie uczuło choć raz cudnéj piękności owego poematu.

Janek przeczytał go od początku do końca, sądząc, żem zasnął; położył książkę na kolanach i poglądał w okno.

Był to śliczny poranek letni, spokojny, cichy, dziwnie usposabiający duszę do marzenia. Kiedy, niekiedy pszczoła zabrzęczała w pośród róż, lub dziki-gołąb zagruchał pod gałązką buczyny. Tkliwy głos jego przypominał pieszczotliwe słowa matki pochylonéj nad kołyską dziecięcia, lub szczebiotanie szczęśliwych oblubieńców.

Janek słuchał. Gdzie biegała myśl jego. Dla czego mu usta zadrżały? Zkąd ta błyskawica w oku młodziana?

Zmrużyłem powieki, nie wiedział, żem go śledził badawczym wzrokiem. Sądził, żem przespał tę godzinę, która mu zapewne wydała się minutą. O! długa ona była dla mnie! Czułem, że przyjdzie kiedyś dzień, w którym serce moje cięższą przetrwa próbę od tych wszystkich, jakich po dziś dzień doświadczyło.

XI.

Tydzień upłynął. Przywykłem zupełnie do pobytu w Enderly-Hill. Janek pięć razy w tydzień oddalał się do domu. Wyjeżdżał rano, kiedy piérwszy promień słońca, ozłocił wierzchołki moich topoli, a wracał o zmroku, kiedy wieczorna gwiazda jasno zabłysła po nad niémi. Ciężka to była próba dla niego, ale ją znosił mężnie.

Co do mnie, moje dni upływały jednakowo.

Wychodziłem z raną na wzgórek panujący nad wioską i zasiadałem w cieniu na mórawie. Przyglądałem się mrówkom, krążącym około mrowiska, lub też badałem nieznane mi zioła i kwiaty.

Niekiedy dzieci pani Tod przychodziły do stóp pagórka, a wesoła ich wrzawa dobiegała aż do mnie. Stara kobiéta czerpała nie raz wodę w poblizkim zdroju, i poiła nią krowy, pasące się swobodnie na łące.

Rzadko kiedy widywałem naszych sąsiadów. Ledwie raz, czy dwa, dostrzegłem pana Marek i jego Antygonę pod wzgórkiem. Był wysoki, włosy miał siwe, lecz nie mogłem rozpoznać zdaleka rysów twarzy. Córka szła przy nim, prowadząc go pod ramię. Zresztą nie miałem z nimi żadnéj styczności. Pani Tod niekiedy nakrywając do stołu, wspomniała o nich nawiasowo, lecz słowa jéj były bez znaczenia. Najczęściéj skarżyła się, że pan Marek, zbytnie wymagający, „jakby jeszcze był u siebie w kraju Gallów, i miał siedmioro ludzi do posługi".

Nieraz byłbym rad wybadać naszą gadatliwą gosposię, ale Janek tak mnie często napominał, że się mięszam niepotrzebnie w cudze sprawy, że musiałem rad nie rad, powstrzymać zbyteczną ciekawość.

Nasz dworek składał się, jak mówiłem, z dwóch części. Nie mogliśmy więc ani słyszéć, ani widziéć naszych sąsiadów, chyba w kuchni, gdzie nie chodziłem wcale, aby nie drażnić Janka.

Tym sposobem oprócz dwóch dni w tygodniu, któreśmy razem przepędzali na dalszych przechadzkach, trawiłem dni samotne. Niecierpliwie też wyglądałem drugiéj Niedzieli.

Postanowiliśmy w tym dniu odbyć daleką wycieczkę. O szóstéj rano ruszyliśmy z domu; jechałem na klaczy Jankowéj. On mnie prowadził nie znaną drogą, na któréj, jak mówił, nie spotkamy pewno panny Marek.

— Powiédz mi Janku zapytałem, czyś ją kiedy widział od tego czasu; bo wiem, że wychodzisz co dzień o świcie.

— Wiész mój drogi, że zrana mam tylko trochę czasu.

— Prawda, że się zbytecznie trudzisz. Wartoby już powrócić do Norton-Bury?

— Nie myśl o tém! Zmiana powietrza pokrzepiła cię już na siłach, nię mamy po co spieszyć się do domu.

— Zostańmy więc, skoroś tu tak szczęśliwy!

— O tak! zupełnie szczęśliwy! Lubię moje przejażdżki konno do Norton-Bury, lubię zwłaszcza powrót wieczorny. Kiedy wjadę na wzgórek, znika mi z przed oczu garbarnia, i żyję nowém życiem. Przyznaj sam, że to urocze miejsce.

— Tak, ale nie odpowiedziałeś mi, czyś kiedy spotkał pannę Marek.

— Nie widziała mnie odtąd ani razu.

— Ale ty ją widziałeś, powiédz prawdę.

— Spodziewam się, odrzekł z powagą, że nie sądzisz, abym był zdolny ubliżyć kobiécie, ścigając ją na każdym kroku.

— Nie bierz tego w złym znaczeniu mój drogi. I cóżby w tém było dziwnego, gdyby młody chłopiec jak ty, korzystał z wydarzonéj sposobności, aby napoić wzrok widokiem ślicznéj panienki siedmnastoletniéj z obliczem świéżém, jak pączek róży?

— Jak pączek róży powtórzył wesoło. Nie, ona śniada! to prawdziwa brunetka. Tak jest lubię na nią patrzéć. Widziałem kobiéty nierównie piękniejsze, lecz nigdy nie widziałem przyjemniejszéj.

Przebyliśmy w milczeniu starożytny obóz Rzymski, który Janek miał mi ukazać.

— Nie dziwię się, rzekłem, że ją znajdujesz miłą; kto wié, może być że i ona...

— Nie dpodobna, daj pokój tym szaleństwom, zawołał odtrącając nogą kamień, który potoczył się w głęboką fossę.

— Doprawdy, mój Janku! nie sięgałem myślą tak głęboko; chciałem tylko powiedziéć, że twoja spokojność mogłaby cierpiéć na tém, gdybyś, jak wielu młodych ludzi, chciał sobie poigrać z uczuciem!

— Uspokój się! widziałem ją ledwie pięć razy, nigdzie nie wyrzekłem do niéj słowa. Żadne niebezpieczeństwo mi nie grozi. Z resztą dodał poważniéj, mnie nie wolno bawić się tak, jak drugim. Bądź spokojny Fineas.

Uśmiechnąłem się. Rozpoczęliśmy potém długą rozprawę, o obozach Rzymian, Saksonów i Normandów; rozprawę tak uczoną, że nie pamiętam z niéj ani słowa.

Pamiętam jednak tę długą i spokojną Niedzielę. Przez cały dzień słońce zaciemniało się chmurami; niebo i ziemia szarą, jednostajną pokryte były. barwą. Wróciwszy z przejażdżki usiedliśmy na mórawie i słuchaliśmy dźwięku dzwonów, odzywających się z daleka. Gdy zapadła cisza wieczorna' zeszliśmy do lasku bukowego, i rozmawiali długo, szczęśliwi z wzajemnéj przyjaźni.

Około dziesiątéj, gdyśmy już wrócili do pokoju, pani Tod zapukała do drzwi i weszła ze znaczącą postawą. Twarz jéj zwykle rumiana i wesoła, okazywała niespokojność.

— Panie Halifax, rzekła, jedno słówko.

Janek podał jéj krzesło.

— Cóż pani jest? czy które z dzieci słabe?

— Nie, Bogu dzięki, ależ ta biédna panna Marek

Spojrzałem na Janka; pewien byłem że zgniecie poręcz od krzesła, o które sią oparł całą siłą.

— Spodziewam się.... zaczął, i zatrzymał się nagle.

— Ojciec jéj bardzo źle, ciągnęła pani Tod; tzebaby posłać czémprędzéj po doktora, a tu siedem mil drogi. Otóż panna Marek... a raczéj ja, bo ona o tém nie wié, myślałam sobie, czyby pan nie pozwolił, swojéj klaczki.

— Jak najchętniéj, pójdę ją zaraz osiodłać.

— O! jeszcze nie, mąż nie wrócił jeszcze do domu, a on sam pojedzie do miasteczka.

— Bardzo dobrze, żeś się pani do nas udała, jesteśmy gotowi dopomódz ci we wszystkiém.

— Dziękuję panu całém sercem, rzekła poczciwa gospodyni; gdyby szło o mnie, nie śmiałabym nadużywać łaski pańskiéj, ale ta kochana panna Marek, zasługuje na względy. Sam pan to przyznasz, poznawszy ją bliżéj.

— Nie wątpię o tém, rzekł Janek, z obojętną grzecznością.

— Zamknął drzwi, któremi wyszła pani Tod, potém siadł zamyślony i przerzucał karty książki, odpowiadając z roztargnieniem na moje słowa.

— Wiesz co Fineas, rzekł nagle, pojadę sam?

— Gdzie?

— Po doktora Brown. To prosty uczynek miłosierny, skoro Tod nie powrócił.

— Noc taka ciemna!

— Właśnie dla tego. Klacz mnie zna, bałbym się powierzyć ją w cudze ręce.

Uśmiechnąłem się i przyznałem, że lepiéj jechać samemu po doktora.

Poszliśmy bez namysłu do kuchni, nie było w niéj nikogo. Głośne jęki dobiegały z wyższego piętra.

— To zapewne pan Marek!

— Tak! Mocny Boże, co ona musi cierpieć sama jedna, tak młoda, odrzekł pół głosem, patrząc w węgle dogasające na kominie.

Wyraźnie był wzruszony.

Wreszcie pani Tod ukazała się w progu. Kończyła rozmową z panną Marek, która stała na wschodach.

— Nie, pani Tod, rzekla, nie gniewam się wcale, żeś go o to prosiła, tém lepiéj dla biednego ojca mego. Powiédz, że mu jestem wdzięczną nieskończenie.

Powiem droga pani, ale otóż i on, już zamknęła drzwi, szkoda...

Kiedy Janek powiedział po co przyszedł, pani Tod składała mu stokrotne dzięki, których ja sam byłem świadkiem, gdyż on zniknął nam z oczu. W kilka minut powrócił, uchylił drzwi, trzymając klacz za frendzle; pożegnał mnie, i pomknął jak strzała.

Ujrzałem w téj chwili, jak drobna rączka podniosła ruletę od sąsiedniego okna.

Janek nie bawił długo; powrócił z doktorem, i rozłączywszy się z nim u drzwi chorego, wszedł do mego pokoju. Zmęczony był i drżał od chłodu. Zegar wybił piérwszą z północy.

— Powieneś już spać Fineas, rzekł, połóż się zostanę chwilę; radbym wiedział, jak się ma chory.

I ja także... szczególna rzecz jak silny węzeł łączy nas z osobami nieznajomémi, kiedy się mieszka z niémi w miejscu tak samotném.

— Szczególniéj, kiedy cierpią, przerwał Janek. Czy nie wiész co słychać u nich.

— Pani Tod mówiła, że Pan Marek trochę lepiéj.

— Ale otóż i doktór odjeżdża. Gdyby go zapytać? może to nie wypada! Pewno mu lepiéj, doktór jednak mówi, że może skonać w piérwszym ataku. Biedna ona!

— Czyż ona nie ma krewnych? brata lub siostry, doktór Brown musi przecież wiedziéc.

— Nie pytałem go wcale. Sądzę, że nie ma nikogo, lecz to do mnie nie należy; powinienem raczéj, nakłonić ciebie do spoczynku.

— Zaczekaj chwilę, zajrzyjmy oto do kuchni.

Pusto w niéj było, ogień tylko palił się na kominie; samotny świérzczyk wyśpiewywał swą wesołą piosenkę pod podłogą. Jęki chorego umilkły, dobiegały tylko słowa rozmowy prowadzonéj półgłosem. Wreszcie dało się słyszéć lekkie stąpanie na schodach. Była to pani Tod z panną Marek.

Wypadało nam opuścić kuchnię, Janek postąpił nawet ku drzwiom parę kroków, zostaliśmy jednak mimowolnie.

Panna Marek przystąpiła do komina, nie widząc nas wcale. Lica jéj zwykle tak świéże, zupełnie pobladły. Szlafroczek biały perkalowy, podnosił jeszcze tę bladość.

— Zdaje się lepiéj, rzekla gorączkowo. Nie prawdaż pani Tod? Idź pani spać, zaklinam. Czyś powiedziała panu....

Spostrzegła nas w téj chwili, stanęła jak wryta, lica jéj zapłonęły chwilowo; przyszła jednak prędko do siebie, i ukłoniła się lekkim skinieniem głowy.

— Mam nadzieję że pan Marek jest lepiéj, zapytał Janek. Pragnęliśmy dowiedzieć się o stanie jego zdrowia.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie